

# WIELKA GRA

młodzieżowe pismo  
oświaty niezależnej

WARSZAWA  
MARZEC 1987

NR 2

## BRAK JAKO SZANSA

### 1. Jak to jest wokół nas?

Jeśli mielibyśmy zginąć jako naród, to stanie się to wówczas, gdy opanuje nas zgoda na bezradność - gdy pocujemy i powiemy sobie wzajemnie, iż "obiektywnie" nic od nas nie zależy i nic się nie da zrobić, więc ani zaczynać, ani próbować nie warto.

Kiedyś, dawno temu, zanim jeszcze zapanował w kraju nowy ustrój, nazywany potem socjalistycznym, człowiek miał tyle ile wypracował, bądź otrzymał w spadku po przodkach. Państwo nie obiecywało pracy, mieszkania, dobrobytu. Jednym w tej sytuacji było łastwo, innym trudniej, niektórym całkiem źle. Polska przedwojenna, kraj, w którym "konie użańskie stapały w paradzie" wcale nie była rajem. Ale każdy wiedział, że od własnej zdolności, pracy, umiejętności a także sprytu, inteligencji i odwagi zależy ogromnie wiele, zależy los własny, los rodziny, los grup społecznych, w których człowiek przebywa lub z którymi się związał.

To wszystko minęło. Nowy ustrój nastawał wraz z obietnicami, że nowi władcy załatwią nam i za nas wszystko: mieszkanie, wykształcenie, bezpłatną opiekę lekarską, wczasy, sanatoria, pracę i ogólnie szczęśliwe życie. Miało być tak: kierownicy życia społeczno-państwowego będą planować i myśleć z troską za nas i o nas, potem będą mówić nam co mamy robić, my będziemy zgodnie i pracowicie realizować polecenia, oni będą nam płacić /mało, bo przecież większość zapłaty wejdzie w tzw. konsumpcję zbiorową, a więc właśnie te bezpłatne mieszkania, opiekę lekarską, sanatoria/ i tak to się będzie toczyć do przodu i powoli będzie coraz lepiej.

Tu potrzebna dygresja. Napisałem "kierownicy życia społeczno-państwowego" i my, naród. To przeciwstawienie "oni" - "my" jest ważne, ale trudno jed-

nym wyrazem określić kto to "oni". Na pewno nie można wprowadzać przeciwstawienia "partyjni-bezpartyjni", bo wielu partyjnych też nie ma żadnego wpływu na bieg wydarzeń. W dalszej części tekstu będziemy mówić o ludziach nomenklatury, to jest o aparacie partyjnym i "górze" aparatu państwowo-gospodarczego, a więc o ludziach mających możliwości sprawowania władzy, decydowania i spożytkowywania efektów wypracowanych przez resztę narodu w ramach tzw. gospodarki uspołecznionej. Ze względu na to, że ci właśnie ludzie przyznali sobie uprawnienia kierowania losami narodu można ich nazwać szlachtą nomenklaturową.

Wspomniane wyżej założenie, że nomenklatura kieruje zbiorowym wysiłkiem narodu, z tego wysiłku coś powstanie, potem nomenklatura łaskawie to "coś" między naród rozdzieli, a naród przyjmie i podziękuje, też już przeszło do historii. Nomenklatura kieruje, ale efektów gospodarczych nie ma. Państwo mniej czy więcej jawnie wycofuje się z obietnic. Wszystko minęło, chociaż nie każdy jeszcze zdaje sobie z tego sprawę.

System gospodarczy oparty na kierowniczej roli nomenklatury załamał się w drugie połowie lat siedemdziesiątych i nic nie wskazuje na to, by miał jeszcze jaką przyszłość. Analogicznie zbudowany system polityczny trwa. Nie dajcie się jednak zwieść pozorom: nic nie jest równie złudne jak samowiedomość systemów społecznych. Ludzie nomenklatury mogą dalej powtarzać swoje hasła, ale co to ma za znaczenie?

Myślę, że kiedyś, za kilkadziesiąt, może kilkanaście lat będzie widać jasno jaką bezsensowną utopią był sam pomysł systemu oparty na założeniu, że mała liczebna nomenklatura myśli i kieruje a lud wykonuje. Może z dalszej perspektywy okaże się, że dekada 1976-1985 była decydująca dla reform? W tym czasie przecież rozpoczęła się wielka reforma chińska, będąca zdecydowanym choć spokojnym odwrótem od

CIĄG DALSZY NA STR. 2

## NAUCZYCIEL BEZ COLTÓW - cz.2

lyt.: Kiedy pojawił się w Pańskiej koncepcji termin "osobowość otwarta". Co to takiego?

Odp.: To tkwiło we mnie już od dziecka. Najpierw była to bezustanna moja walka w czasie okupacji, potem w czasach stalinowskich, potem jako ucznia, studenta, nauczyciela - cały czas walka z czymś co mnie miazdżyło. Nigdy nie mogłem być sobą. Właściwie cały czas brakowało mi autentycznej, szerszej, twórczej drogi. Ludzie w większości uważają, że jest to wina systemu. Żyją w jakimś systemie państwowym czy społecznym i ten system czyni ich takimi czy innymi. Ale to jest nieporozumienie. Bo tak naprawdę, jeśli się dobrze przyjrzyć, więzienie budujemy sobie sami. Oczywiście, że są tacy, którzy budują i nie zauważają, inni podają belki i zaprawę. To zależy od każde-

go pojedynczego człowieka, czy nie da się zniewolnić. Najprościej powiedzieć - jestem taki, bo w takim wychowałem się świecie. Jestem przekonany, że nie ma takich sił na świecie, aby człowiek musiał stać się niewolnikiem.

Pojęcie osobowości otwartej zaczęło pojawiać się w literaturze, pokazując cechy zarówno osobowości otwartej, jak i zamkniętej. Osobowość zamknięta jest to taka, kształtować się chce, gdy się manipuluje i steruje z zewnątrz według określonego programu, kiedy chce się, żeby człowiek tylko w określony sposób reagował na określone bodźce. Żeby to był człowiek społecznie przydatny /tylko do jakiego społeczeństwa - diabli wiedzą/. Przeciwwstawieniem osobowości zamkniętej była osobowość otwarta, nastawiona na samorozwój człowieka, ujęta w dwóch kategoriach: zdolności do szybkiej i wielorakiej adaptacji do świata zewnętrznego, ale jednocześnie zdolności do przetwarzania świata zewnętrznego i wewnętrznego. Czyli

CIĄG DALSZY NA STR. 3

# Brak jako szansa - c.d.

nakazowo-rozdzielczego systemu sprawowania władzy gospodarczej, w tym czasie nastąpił rozpad systemu gospodarczego w Polsce, pod koniec tego okresu rozpoczęły się w Związku Radzieckim pierwsze, niepewne jeszcze przymiarki reform. Może w najbliższej dekadzie te reformy okażą się istotnym czynnikiem zmieniającym skostniałe dotąd oblicze Związku Radzieckiego? Tego oczywiście teraz nie wiemy.

Jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości: oto na naszych oczach, mniej czy więcej wyraźnie, choć jeszcze nieśmiało, kruszy się stary, zmurszały porządek świata - coraz bardziej bezsensowny gospodarczo, społecznie i politycznie okazuje się leninowski pomysł na rządzenie społeczeństwem przez partię - szlachtę nomenklaturową kierującą pocziwymi lecz tępymi i pozbawionymi inicjatywy masami wykonawców.

Istnieją tradycyjnie trzy podejścia dotyczące perspektyw w komunistycznym imperium. Wymieńmy je: a/ nacisk z Zachodu - realizowanie aktywnej polityki mającej na celu wyrwanie państw zależnych spod władzy imperium radzieckiego,

b/ ruchy rewolucyjne wewnątrz obozu - na tyle silne i skoordynowane by zaważyły na całości, a więc przede wszystkim ruchy wstrząsające Rosją jako sercem imperium,

c/ samorzutna ewolucja komunizmu w stronę jakiegos bardziej rozsądnego modelu społeczno-gospodarczego.

Można jeszcze dla porządku wymienić wiarę, że jakieś bliżej nieokreślone "coś" albo "cud" stanie się i nam pomoże. Jeśli jednak ten ostatni wariant odrzucimy na bok, pozostaną trzy wymienione wyżej. Moja ocena sytuacji jest następująca: Zachód nie prowadzi żadnej polityki wyzwalania nas i nic nie wskazuje na to, by ją chciał podjąć, a na rewolucję się nie zanoszą - na szczęście, bo krwawa rewolucja więcej problemów tworzy niż rozwiązuje.

Pozostaje ewolucja. Dyskutują o niej od lat specjaliści od komunizmu. Czy system ewoluuje? Moim zdaniem zdecydowanie tak. Kłdra szlachta nomenklaturowa partii komunistycznej Chin stara się czynić zmiany przez ewolucję taką by i naród skorzystał i partia wyzbywając się znacznej części swej władzy i przywilejów zachowała w pewnych istotnych sprawach trwałe znaczenie. Czy Związek Radziecki pójdzie tym tropem? Nie wiemy, za wcześnie przesądzać.

Nasz polski socjalizm też ewoluuje i to wyraźnie w stronę zwiększenia zakresu wolności ludzi. Czyny to wolno, niekonsekwentnie, z nawrotami represji, ale generalny kierunek ewolucji od 1955 mniej więcej roku jest oczywisty. Myślę, że zgodzą się ze mną wszyscy starsi, którzy mieli możliwość obserwowania rzeczywiście zajadłego, żarliwego komunizmu w okresie stalinowskim.

System ewoluuje, ale raczej nie w formach tylko w treści. W większości trwają układy formalno-prawne powstałe około 1949 roku. Te formy prawne nęgdys zaaprobowane dogmatyczną treścią przez niezbyt mądrych, ale żarliwych wyznawców ideologii, teraz są pełne nijakości, jako że nasi władcy i właściciele nomenklaturowi od dawna przestali chyba wierzyć w komunizm jako perspektywę ludzkości, a uznają tylko realność geopolityczną, czyli po prostu fakt, że żyjemy w sferze interesów Związku Radzieckiego i jego wola jest na tym obszarze decydująca. Tu ideologiczna martwota funkcjonariuszy systemu jest okolicznością bardzo pozytywną. Ale nie to jest najważniejsze. Najistotniejsze w tej ocenie ewolucji jest to, że nie dzieje się ona sama przez się. Jest ona w znacznym stopniu popychana czy wymuszana przez zachowania społeczne. W najgorszych latach stalinowskich opór chłopów uchronił ich przed kolektywizacją i w sumie chłopci potrafili wymusić trwanie indywidualnej własności rolnej. Kościół potrafił ochronić niezależność własnej instytucji, rozpiął parasol ochronny nad wieloma ludźmi prześladowanymi i potrafił wymusić na władzy przywileje dla siebie nie do pomyślenia np. w Czechosłowacji.

Co będzie u nas dalej - nie wiemy. Zależy to od układów międzynarodowych i zależy od nas. Czy będziemy mieli wywierać mocny ale spokojny i trwały nacisk by naszą szlachtę nomenklaturową zmusić do pokojowego zrezygnowania z części swych dotychczasowych

swych uprawnień? Czy ludzie nomenklatury będą mogli /kwestia zezwolenia z ZSRR/ z czegoś zrezygnować? Czy będą chcieli? Czy rozumieją, że poświęcenie części przywilejów to szansa na uratowanie reszty, czy też będą kurczowo trzymać całość?

Dróg wymuszania ewolucji jest wiele. By powstać na którejs z nich pierwszy krok potrzebna jest aktywność własna. Aktywność w działaniach legalnych, półlegalnych, nielegalnych tak, by swoim postępowaniem tworzyć fakty dokonane, które najpierw, jako jednostkowe, są zwalczane, potem jako masowe zaczynają być tolerowane, a potem, powoli legalizowane.

Naród chce zwiększenia zakresu wolności dla poszczególnych ludzi i grup społecznych. Nomenklatura chce utrzymania możliwie pełnej władzy. Ale świat jest podzielony a bronie jądrowe gotowe. Spór i walka toczy się na polu zaminowanym, obie strony muszą więc w trakcie zmagania zachować mądrość i instynkt samozachowawczy. Zbyt gwałtowne ruchy jednej czy drugiej strony są niezwykle niebezpieczne dla wszystkich. Mogą wywołać wybuch, który spowoduje zawalenie się dachu wspólnego domu i pogrzebie nas razem - dogadanych jak Polak z Polakiem we wspólnym grobie.

Tak wygląda świat, tak wygląda kraj, w którym wy macie rozpoczynać dojrzałe życie. Może kiedyś o was urodzonych pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych potomni będą mówić z zazdrością. Może to waszemu pokoleniu przypadnie w udziale przetwarzanie, reformowanie w kierunku swobody skostniałego, totalitarnego systemu, jaki chora, dziewniastawieczna jeszcze utopijna myśl ludzka powołała do życia w 1917 roku. Myślę, że przed wami życie ciekawe i pełne, o ileż bardziej fascynujące niż nijakość "małej stabilizacji" lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Tymczasem jednak, czytając to, pewnie myślicie że fantazjuję. Teraz jest teraz - początek roku 1987. Na dworze zimno, czekamy na znaczne podwyżki cen, mieszkań nie będzie, na wyższych uczelniach studują już tylko amatorzy, szaleńcy i hobbyści /"trzeba być psychicznym żeby być umysłowym"/, zwykła państwowa płaca nie da młodemu człowiekowi szansy utrzymania się z żoną i dzieckiem. Jedni wybierają się popracować w RFN-ie, inni myślą o stałej emigracji. Nie ma perspektyw.

## Szansę?

Tak więc to jest. Spróbuj Czytelniku sporządzić spis tego, czego nie masz, a co chciałbyś mieć. I powiedz sobie wyraźnie: "Nikt mi tego nie da. Albo to wypracuję i zdobędę własnym wysiłkiem i przedsiębiorczością, choć nie mam pojęcia jak się do tego zabrać, albo muszę się przystosować do braku". Ale jednocześnie zobacz, gdzie brak tworzy szansę. Możesz wielokrotnie powtarzać sobie samemu listę własnych braków. Ale spojrz na sąsiadów w bloku bliższym, dalszym i jeszcze dalszym. Oni też nie mają: dostaw mleka do domu, kogoś kto trzy razy na tydzień chciałby za pieniądze posiedzieć z dzieckiem, niezależnych książek, książek w ogóle, szklarza jak pęknie szyba, świeżych owoców, paska klinowego do malucha, kogoś do posprzątania mieszkania, karpia na wigilię, stolarza do zrobienia pawlacza, kogoś kto mógłby pomóc dysleksyjnemu uczniowi II klasy...

To lista moja. Napisana jest "z głowy czyli z niczego". Ale Ty Czytelniku naprawdę poobserwuj życie jakiegoś bloku, pogadać z ludźmi i zrób listę prawdziwą. Tylko dla jednego bloku!

I wobec tego ogromu braków wokół Ciebie zastanów się - może Ty jesteś w stanie zaspokoić choć jedną potrzebę cudzą, wypracowując tym samym coś dla siebie i zmniejszając własne poczucie braku?

Specjalnie w tym co piszę mieszam sprawy z zakresem "ducha" ze sprawami dotyczącymi "ciała". Brak niezależnych książek jest szansą dla tych, którzy chcą je tworzyć i ukławić innym ich zdobywanie, a brak osób do umycia okna jest szansą dla tych, którzy chcą dorobić. I tak jest ze wszystkim.

Myślę, że jeśli Wasze pokolenie nie potraktuje tego wszechogarniającego wszystkich poczucia braku jako szansy dla każdego z Was - pozostanie Wam tylko oczekiwanie aż władze dostarczą, "zabezpieczą", przydzielą. A to po prostu nigdy nie nastąpi.

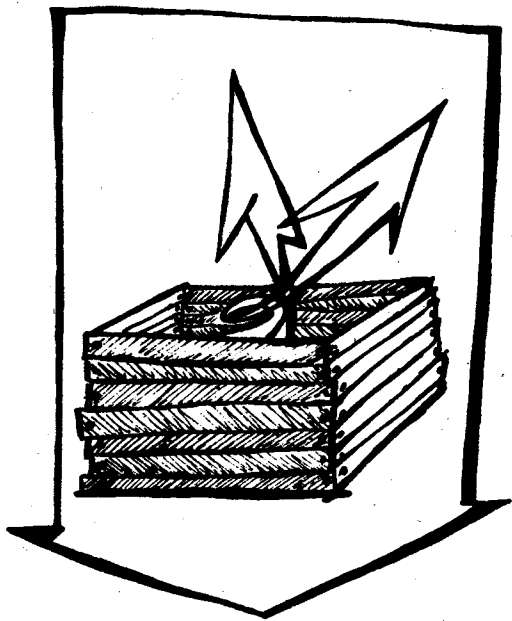
To wszystko co napisano dotąd odnosi się do spraw dotyczących każdego z was bez względu na orientację polityczną. Dotyczy spraw prywatnych. Dal-

szy ciąg tekstu jest już bardziej dla tych, którzy jakoś sympatyzują z działaniami "niezależnymi" czy z tzw. "opozycją demokratyczną".

Znaczna część ludzi żyje w przekonaniu, że zachowanie opozycyjne to zachowanie głównie symboliczne - że opozycja jest po to, by w kazań i podkreślić istnienie braku, a więc "wskazać zło", "dać świadectwo", zmanifestować. Myślę, że jest to błędna perspektywa. Owszem, piktowanie i skupianie się wokół symboli bywa potrzebne, czasem zaś jest niezbędne. Jest jednak nieporozumieniem zakładanie, że poruszanie się w świecie symboli wyczerpuje opozycyjność.

Rozpatrzmy to na przykładzie. Nie podoba mi się, powiedzmy, system rządzenia państwem, lub styl pracy instytutu badającego coś, lub sposób prowadzenia fabryki zapalek.

Gdy mówię głośno "nie podoba mi się" wyrażam własną postawę, czasem wyrażam solidarność z tymi, którym też się nie podoba. Czasem tego rodzaju powiedzenie jest aktem odwagi, niekiedy jest bardzo potrzebne. Niezależnie jednak od przyjemności powiedzenia, że mi się nie podoba, trzeba umieć sformułować sobie, sprzymierzeńcom i wrogom co się nie podoba i dlaczego. To już jest trudniejsze, ale czasem dajemy sobie z tym radę, zwłaszcza gdy możemy pozostać na wysokim poziomie ogólności. W rezultacie możemy postulować, by rząd, dyrekcja instytutu lub fabryki wprowadziła jakieś zmiany, niewątpliwie - jak wierzymy - na lepsze. Postulowanie jest w gruncie rzeczy wyrazem wiary w możliwości ludzi nomenklatury. Dajemy im do zrozumienia, że gdyby tylko zechcieli mogliby zlikwidować brak.



Co jednak dzieje się, gdy władze przyzwyczajają się do opozycji i jej postulatów a zmiany nie następują? Gdy opozycja nie ma w danym momencie siły na wymuszenie zmian, pozostają trzy rzeczy do zrobienia:

- dalsze mobilizowanie opinii publicznej by w przyszłości wywarła większy nacisk,
- konceptyjne przygotowanie zmian na okoliczność szansy, to jest na moment, gdy oni będą słabsi a my silniejsi. Czyli inaczej, opracowanie projektu "jak to wszystko powinno wyglądać", ale projektu szczegółowego i konkretnego, zrobionego tak, by w sytuacji jakiegos "otwarcia" czy "konjunktury" rzeczywiście można było tym projektem "zagrać" i zastosować go, zdając sobie sprawę, że szansa może być krótkotrwała i, że im więcej zmian uda się szybko wprowadzić, tym więcej okaże się nieodwracalnymi,
- zorganizowanie danego odcinka życia poza bezpośrednim zasięgiem władzy - przekładając to na język naszego przykładu oznacza to koncepcję społeczeństwa niezależnego załatwiającego wiele istotnych problemów poza agendami państwa, oznacza to też takie zorganizowanie spraw, by badania dotyczące "czegoś" toczyły się poza państwowym instytutem, a zapaliki były produkowane poza państwową fabryką.

Wielu ludzi uważa, że opozycyjność polega tylko na realizacji punktu "a" /mobilizowanie, propagowanie, agitowanie/ w związku z czym sprawy wymienione w punktach "b" i "c" są zdecydowanie niedoceniane. Myślę, że to błąd.

Przyjrzyjmy się jednak dokładniej propozycjom zawartym w punktach "b" i "c". Realizacja ich wymaga odejścia od symboli i zajęcia się pracą. Pracą ciężką, żmudną, nieefektowną, odpowiedzialną i bez żadnej gwarancji sukcesu.

W pierwszym przypadku jest to praca głównie myślowo-konceptyjna. Tu nic nie pomoże poruszanie się w sferze gestów, tu frazes nie zastąpi analizy, a wymyślanie "czerwonego" nie zakryjemy miejsc, w których nie mamy nic sensownego do powiedzenia, ani tego, że nie mamy projektu, bośmy nic nie wymyśliли, albo nie zbadali jak gdzie indziej, na świecie, ludzie dają sobie z podobnymi kwestiami radę.

W drugim przypadku to praca głównie organizatorska. Podejmowana z pełną świadomością, że nigdy nie uda się całkowicie wyjść poza państwo i żyć tak, jakby ono nie istniało, czyli że sukces zawsze będzie półowiczny.

Otóż chcę Wam w tym tekście powiedzieć, że opozycja bez podjęcia takiej ciężkiej pracy jest skazana na megalomanię, gesty i machanie chorągiewkami. W rezultacie nicieść i rozczarowanie społeczne.

Piłsudski mówił o Polakach jako o narodzie, który chciałby mieć niepodległość bez kropelki krwi i kropelki potu, Papiież przestrzegał, byśmy nie pragnęli wolności, która nic nie kosztuje. My, sprzyjając opozycji, zachowujemy się często tak, jakbyśmy zakładali, że krew to zawsze chętnie oddamy /też raczej mylnie przekonanie, lecz tak to sobie wmówiliśmy/, ale praca... Niby wiadomo, że człowiek powinien poczytać, zrozumieć, pomyśleć, wymyśleć, sformułować, a potem działać, ale kto to bierze na serio? Większość ludzi z mojego pokolenia wrzucił ramionami. Jesteśmy za starzy, za mało energii. Ale wy macie przed sobą wiele czasu - i możecie go użyć rozsądnie na przemyślaną i wytrwałą pracę.

Praca jest potrzebna do przygotowywania przyszłości i do wymuszania pożądaných zmian ewolucyjnych teraz. Działania wspierające ewolucję systemu są najczęściej działaniami, jeśli tak rzec można, w skali "mikro" - nie chodzi tu o przemiany zasadnicze, chodzi o powolne, stałe wymuszanie, "wpychanie" zmian drobnych.

W każdej dziedzinie potrzebne jest tworzenie nowych wartości, które mogłyby zastąpić stare, zdewaluowane. Jeśli nie podobają nam się książki historyczne wydawane przez państwo, piszemy i wydajemy własne. Jeśli uznacie, że w tej czy innej sprawie państwowy system oświaty podaje nam wiedzę nieprawdziwą, nie poprzestawajcie na powiedzeniu "oni są ohydni, oni kłamią, oni nas deprawują itd.". Nie nierzekajcie, po prostu nie dajcie się zdeprawować, to jest zdobyćcie wiedzę prawdziwą, korzystając ze źródeł książkowych nielegalnych lub legalnych /tych jest wiele w różnych niskonakładowych wydawnictwach/ i z kontaktów z ludźmi mądrymi i zaufanymi, których można znaleźć, jeśli chce się ich poszukać. Ale oba te działania, i poszukiwanie książek, i ludzi są trudniejsze niż wykrzyknienie "oni kłamią" i zmanifestowanie swego oburzenia, że kłamią. Znow pojawia się przeciwstawienie gestu i pracy. Poszukiwania wymagają pracy.

Rozważmy inny przykład: wprowadza się religioznawstwo w szkołach. Cel jest dość jasny, chodzi o przeciwwstawienie się dominującej roli Kościoła i ograniczenia wpływu Kościoła na młodzież. Czytałem w "bibule", że w jednym mieście pojawiły się w szkołach ulotki - "precz z religioznawstwem". Po co? Dlaczego zaraz "precz"? Popatrzcie na program tego przedmiotu. W kraju, w którym istnieje potężny Kościół katolicki, program nie może być jawnie ateistyczny, antyreligijny musi być stonowany. Cokolwiek znajdzie się w przyszłym podręczniku, którego zresztą dotąd nie ma, wiadomo, że nie uda się tam zamieścić samych kłamstw.

Popatrzcie na nauczyciela, który ma was uczyć religioznawstwa - może to jest łobuz, który chce wam zrobić wodę z mózgu, a może porządny człowiek, który wymyślił sobie, że pod przykryciem oficjalnego programu da wam wartościową wiedzę, rozszerzy wasze horyzonty, ukaże ciekawą zjawiska. Jak jest - na początek pewno nie wiecie - poczekajcie więc z potępieniem.

Na początku rozważań o odnowie harcerstwa potrzebna jest jedna uwaga natury formalnej. Pod pojęciem "harcerstwo" rozumie się najczęściej dwie rzeczy:

- konkretną strukturę organizacyjną, w naszym przypadku noszącą nazwę Związek Harcerstwa Polskiego i będącą w systemie politycznym PRL jedną z najwierniejszych przybudówek PZPR,
- ruch społeczny wynikający z większych lub mniejszych, ale zawsze realnych zapotrzebowań, działający w ramach lub na zewnątrz oficjalnych struktur.

W niniejszym tekście posługiwać się będziemy drugim znaczeniem tego słowa.

Czym był Sierpień '80 dla polskiego harcerstwa? Jaką rolę odegrał przełomowe dla naszego społeczeństwa wydarzenia w historii jednego z ruchów młodzieżowych o najbogatszych bodaj tradycjach? Na to pytanie trudno odpowiedzieć nie poświęcając choćby kilku słów genezie harcerskiej "odnowy".

Trzeba od razu zaznaczyć, że Sierpień '80 zastał polskie harcerstwo w momencie niezmiernie dlań trudnym. Związek Harcerstwa Polskiego - wówczas organizacja ponad trzymilionowa - był w przeważającej swej masie jedynie formą "transmisji partii do mas". Tak przynajmniej wyglądał oficjalny program Związku, który np. na poziomie szkół średnich wymagał od swych członków znajomości "Manifestu Komunistycznego", dzieła Lenina, określenia swego niesprzecznego z oficjalnie wymaganym światopoglądem itp. Harcerzy z tychże szkół zrzeszały drużyny tzw. Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej /HSPS/, których program ewoluował żywo w kierunku założeń ideowych tak "zasłużonych" organizacji jak Związek Walki Młodych, Związek Młodzieży Polskiej, czy Organizacja Harcerska Polski Ludowej.

ko przejawom skomunizowania ZHP. Noszono więc zielone i szare mundury, tradycyjne liliżki, rogatywki, używano starej Roty Brzyrzeczenia i łrawa Harcerskiego mówiące o służbie Bogu i Polsce itd., itp. Funkcjonowanie i tolerowanie tych grup, zwłaszcza warszawskich i krakowskich, można wytłumaczyć w epoce gierkowskiej jedynie rolą "wentyla" jaką spełniały te środowiska. Lniejsze miasta znalazły się w dużo gorszej sytuacji. Izolacja doprowadzała do tego, że podczas akcji letnich poszczególne środowiska ze zdziwieniem odkrywały podczas obozów, że obok ich grupy, zdawało się jedynej zachowującej wierność tradycji harcerskiej znajdują się inne, które usiłują robić to samo, może tylko szukając nieco innych rozwiązań metodycznych. Tego rodzaju przypadkowe kontakty zaowocowały już w kilkanaście dni po podpisaniu porozumień sierpniowych. Już we wrześniu 1980 r. instruktorzy z kilku środowisk utworzyli Porozumienie Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego /jednego z twórców harcerstwa w 1911 r./. W miesiąc później ruch ten zmienił nazwę na porozumienie Kręgów Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego /Porozumienie KIHAM/ inicjując zakładanie w całym kraju kręgów instruktorskich działających na rzecz odnowy. Ruch "KIHAM"-owski stał się w okresie 16 miesięcy, między sierpniem a grudniem, najliczniejszym i najbardziej radykalnym ruchem działającym wewnątrz ZHP. Ruchem zresztą bardzo niejednorodnym.

x  
x x

Już na wstępie stanęły przed instruktorami KIHAM dwa problemy: programu odnowy ZHP, oraz zastosowanie taktyki działania. Wobec zasadniczej linii reform

## HARCERSTWEM BYĆ...

x  
x x

Tradycje organizacyjne polskiego harcerstwa, sięgające swoimi korzeniami lat 1910/11 zostały brutalnie przecięte wcieleniem broniącego długo swej niezależności powojennego ZHP do Związku Młodzieży Polskiej w 1948/49 r. Pod koniec okresu "błądów i wypażeń" z tzw. Organizacji Harcerskiej ZMP utworzono Organizację Harcerską Polski Ludowej programem swym naśladowującą, podobnie jak poprzedniczka "jedynie słuszną" wzory radzieckiego pionierstwa i komsomołu.

Kiedy w grudniu 1956 zjazd OHPL w Łodzi przekształcił się przy obecności grup starych harcerskich instruktorów w ZHP, nowa organizacja odziedziczyła niejako w spadku całą rzeszę etatowych pracowników OHPL i dawnego ZMP. Przedwojennych instruktorów harcerskich systematycznie i skutecznie odsuwano od kierownictwa Związkiem. Począwszy od początku lat sześćdziesiątych, poprzez lata siedemdziesiąte kariery w naczelnych władzach ZHP była wstępem do dalszego pięcia się w górę dla harcerskich aparatczyków. Po prostu etatowi pracownicy ZHP po wykazaniu się odpowiednią ilością "zasług" ładowali na "wyższych" stanowiskach odpowiednio do szczebla na którym działali. Tak więc "etatowcy" z hufców ładowali w Komitetach miejskich PZPR, z chorągwi - w wojewódzkich, wreszcie z Głównej Kwatery w ministerstwach. Przy wyjątkowych "zasługach" można było nawet wejść w skład rządu.

Niezależne inicjatywy harcerskie, przytłumione terrorem lat pięćdziesiątych, odrodzone zaś po Październiku spotykały się z wieloma szukaniami władz ZHP. Spontaniczny ruch odradzania się drużyn harcerskich w całym kraju w latach 1956/57 dość szybko skanalizowano. Kolejne zaś wysiłki zmierzały już do starannego izolowania od siebie inicjatyw tworzenia środowisk prawdziwego harcerstwa. Środowiska te jednak trwały, upadały i odradzały się na nowo, przede wszystkim w dużych ośrodkach miejskich, tworząc na tle ogólnego, szarego, a raczej piaskowego tła /taki kolor miały mundurki HSPS - przypominające zresztą co starszym ludziom umundurowanie... Hitlerjugend/ nieliczne samotne wyspy. Największymi ośrodkami tuż przed sierpniowym przełomem były bez wątpienia: Warszawa /z funkcjonującym na zupełnie "wariackich papierach" hufcem Mokotów/, Kraków, Poznań, Gdańsk, Lublin, Wrocław i Katowice. Szczepny, drużyny czy inne środowiska tworzyły na własne potrzeby programy pracy, które były aktem samoobrony przeciw-

statutu ZHP zgodzali się wszyscy: "odpolitycznienie" Związku, a więc uznanie go za organizację niezależną programowo od jakiegokolwiek organizacji politycznej, wprowadzenie tradycyjnej symboliki harcerskiej /mundury, odznaczenia, regulaminy/, wprowadzenie nowego Prawa Harcerskiego wzorowanego na Prawie z 1939 r. i przestrzeganie 10 pktu tegoż Prawa przez instruktorów, zwłaszcza etatowych /punkt ten dotyczy abstenencji/. Choć i na polu powrotu do tradycji brakowało w Porozumieniu jedności i konsekwencji. Jako przykład można podać nierozwiązanie problemu koedukacji na szczeblu drużyn czy zastępów harcerskich. Trzeba tu przyznać, że programy odnowy harcerstwa żeńskiego były swoistą "piętą achillesową" harcerskiej odnowy.

Taktyka działania sprowadzała się do pytania: czy odnawiać harcerstwo w ramach ZHP, czy tworzyć nową organizację harcerską od nowa? Pierwsza ewentualność została poparta bardzo mocno autorytetem dha Stanisława Broniewskiego /"Orszy"/, jednego z ostatnich naczelników Szarych Szeregów. Powoływano się na fakt, że w okresie międzywojennym polskie harcerstwo nie ulegało większym rozłamom i że w chwili obecnej "jedność" jest wartością najwyższą. Za tą taktyką przemawiał również inny, niebłahy z punktu widzenia pracy instruktorskiej, argument ewentualnego w razie rozłamu oderwania się od materialnej bazy umożliwiającej działalność harcerską /harcówki, sprzęt, dotacje itp./. Emocjonalnie negatywnie działała także hipotetyczna konieczność wyrzeczenia się zewnętrznych odznak związanych z tradycją /np. Krzyża Harcerskiego/, zastrzeżonych prawnie dla istniejącego ZHP. Perspektywa utracenia tych możliwości wprowadzała swoiste "rozwojenie jaźni" u instruktorów - konieczność działania w organizacji, której władz i statutu się nie akceptuje, a z której środków w całej pełni korzysta w imię szeroko rozumianego "dobra dziecka" - była co najmniej dwuznaczna moralnie.

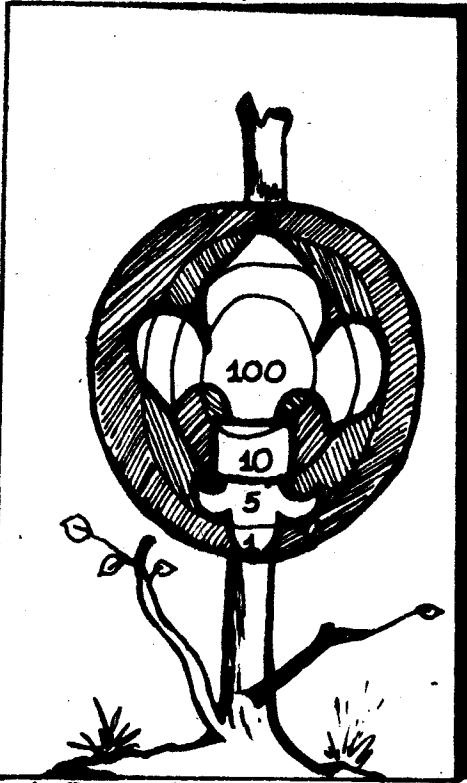
Zjazd ZHP, który miał miejsce w marcu 1981 - w szczyście posierpniowej odnowy, okazał się wielką klęską ruchu KIHAM. Był to nota bene bodaj najbardziej "wsteczny" zjazd spośród wszystkich zjazdów różnych organizacji statutowo prokomunistycznych w okresie 1980-81. Bezładność płałnego aparatu okazała się nie do przezwyciężenia. Ruch "KIHAM"-owski nie docenił czym może być walka z tysiącami "harcer-

skich" aparatczyków, pamiętających niekiedy jako niestarszejący się "działacze młodzieżowi" jeszcze czasy ZMP. Owi działacze i nauczyciele, którzy specjalnie do narzuconej przez dyrekcje własnych szkół "opieki" nad harcerstwem nie przykładali się, stanowiąli większość na Zjeździe. Wystarczy powiedzieć, że na około 1500 delegatów ponad 900 stanowili członkowie PZPR. Zjazd nie tylko nie "odpolitycznił" Związku, ale przyjął statutową formułę:

"ZHP uznaje przewodnią rolę w PZPR wyrażającą się w inspiracji ideowej".

Po tej poprawce do Statutu pozostałe zmiany - niekiedy bardzo spektakularne - miały charakter kosmetyczny.

Polityka KIHAM po Zjeździe praktycznie nie zmieniła się jakościowo. Nadal opowiadano się za pozostaniem w ZHP przy jednoczesnej próbie tworzenia alternatywnych programów i przyjęciu tekstu Prawa i



Przyrzeczenia Harcerskiego. Tuż po Zjeździe z Porozumienia KIHAM wystąpili instruktorzy ze środowiska lubelskiego i dwóch szczepli drużyn warszawskich inicjując Niezależny Ruch Harcerski /NRH/, który praktycznie do grudnia 1981 nie wyszedł poza pierwsze stadium organizacyjne. Podobne próby tworzenia na własną rękę organizacji posługujących się metodyką harcerską poza ZHP odnotowano również w Gorzowie Wlkp. i Gdańsku. Bez wątplenia jednak NRH był najpoważniejszą próbą stworzenia jakiejś alternatywy dla wielkiej i niereformowalnej maszyny ZHP.

Losy obu ruchów harcerskich /KIHAM i NRH/ po ogłoszeniu stanu wojennego potoczyły się różnie. "Makowszczyacy" zostali zmuszeni do stopniowego samorozwiązania się tworząc tzw. "Ruch Drużyn Płaskiego Nęzła", a ostatnio nawet quasi-tajną organizację zwaną "Ruchem". NRH-owcy zaś i harcerze, którzy nie chcieli uczestniczyć w organizacji - będącej członkiem PRON i wierną sojuszniczką PZPR - podjęli szereg inicjatyw na polu duszpasterskim, czy działając metodą harcerską w ramach klubów turystycznych.

Harcerska "odnowa" w końcowym bilansie przyniosła szereg realnych sukcesów ale jeszcze więcej rozczarowań. Dziś, z perspektywą 6 lat trudno ocenić ją jednoznacznie. Największym jednak błędem, jak się wydaje już nie do odrobienia, było zaniechanie rodzącego się już we wrześniu-październiku 1980 pomysłu tworzenia ab ovo nowej organizacji harcerskiej. Organizację taką warto było budować nawet za cenę rezygnacji z fikcyjnej zresztą "jedności" ruchu i pełniących wtórną rolę w stosunku do pryncypiów wychowawczych zewnętrznych symboli. Sprawa zaś obecnego kształtu harcerstwa polskiego po kilku latach bolesnych niekiedy doświadczeń wymaga osobnego omówienia.

phm. Jan Det.

## Brak jako szansa - c.d.

Łatwo mówić "precz", dużo trudniej analizować i szukać - gdzie kłamstwo, gdzie prawda, gdzie półprawda. Jeśli kłamstwo, to dlaczego właśnie tu, co jest grane, o co chodzi tym, którzy to kłamstwo właśnie w tym miejscu zamieścili. Zorientować się w tym wszystkim - to jest wasza sprawa, was dotycząca, poszukajcie wokół siebie rozsądnych ludzi, którzy mogliby wam powyjaśnić te sprawy, poczytajcie sami, podyskutujcie. Może jest w okolicy mądry dorosły, ksiądz, nauczyciel czy kto inny z kim moglibyście na te tematy pogadać. Ale nie czekajcie na inicjatywę innych. Nie czekajcie aż Kościół albo owiata niezależna wyda "kontrpodręcznik" religioznawstwa, albo parafia wymyśli spotkania, prelekcje dla licealistów na ten temat. To jest sprawa wasza i przede wszystkim wasza. Ministerstwo wprowadzając religioznawstwo stworzyło wam piękną szansę rozwoju duchowego.

W tym tekście namawiam was, nakłaniam do pewnego postępowania. Istnieją różne sposoby reagowania na materiały zawierające namawianie. Jeśli przypadkiem podoba Ci się Czytelniku jakaś propozycja, to pewnie po przeczytaniu tekstu pomyślisz: "fajnie, chciałbym w przyszłości dowiedzieć się, czy komus udało się to zrobić" lub powiesz sobie "gdybym znalazł grupę ludzi, którzy to właśnie robią, przyłączyłbym się do nich", lub stwierdzisz "ten pomysł jest OK, spróbuję go zrealizować".

Jestem zwolennikiem pewnej filozofii działania, która zasadza się na sformułowaniu "jeśli ja tego nie uczynię, to pewnie nikt się do tego nie zabierze". Nie zawsze tak było. Przez wiele lat, gdy jakiś pomysł przychodził mi do głowy, natychmiast pojawiała się refleksja, że z pewnością są gdzieś jacyś "inni", którzy są bardziej ode mnie predysponowani do tego, by zrealizować to, co wydaje mi się ważne, ponieważ właśnie ci "inni" są bardziej zdecydowani, doświadczeni, mądrzejsi, odważniejsi, wiążący sprawy szerszej. Czasem po prostu starsi. Od pewnego czasu wiem, że to złuda. "Inni", lepsi i mądrzejsi oczywiście istnieją, ale to wcale nie znaczy, że będą chcieli realizować moje projekty. Teraz wiem, że jedyną sensowną konsekwencją tego, że coś się wymyśliło /lub że się zaakceptowało cudzy pomysł/ to zabrać się do jego realizacji. I tak też staram się odnosić do własnych projektów, chociaż oczywiście możliwości życiowe jednego człowieka sprowadzają realizację do wymiarów więcej niż skromnych.

Mam jednak wrażenie, że w naszym kraju ogromna większość ludzi pozostaje na poziomie zainteresowania biernego - ot, że fajnie byłoby poczytać - zaś spośród małej liczby tych, którzy rozważają możliwość aktywnego udziału w przedsięwzięciu, większość będzie raczej szukać kogoś za kim można by w tej sprawie podążyć. Tylko nieliczni zechcą sami ujmować sprawę w swoje ręce. Szkoda.

I jeszcze ostatnia sprawa. Różni ludzie i instytucje o różnym stopniu wiarygodności starają się Was do czegoś przekonać, skłonić, namówić lub o czymś poinformować. Gra idzie o Waszą świadomość. A Wy macie wolną wolę. I to Wy decydujecie co przyjmiecie za swoje. Ale realizacja, jeśli tak rzecz można, wolnej woli wymaga myślenia i pracy. I braku obaw w stawianiu ostrych pytań: "co jest grane i o co chodzi?". Pytanie to warto stawiać w stosunku do wszystkiego, co Was otacza. Również i w stosunku do tego tekstu. Pomyślcie sobie: "do czego nas ten człowiek ukrywający się pod pseudonimem namawia? Wrabia nas, wpuszcza w maliny, czy nie? Ma w tym jakiś interes? Szansa to czy bzdura?"

Bez względu na to, do jakiego wniosku dojdziecie, powtarzam - nie warto biernie czekać. Lepiej poszerzać zakres własnej wolności - ekonomicznej, społecznej, politycznej - własną pracą już teraz. Wolność nie jest uświadomioną koniecznością. Wolność to uświadomienie sobie, że wcale nie jest konieczne to, co wielu z przyzwyczajenia za konieczność uważa.

styczeń 1987

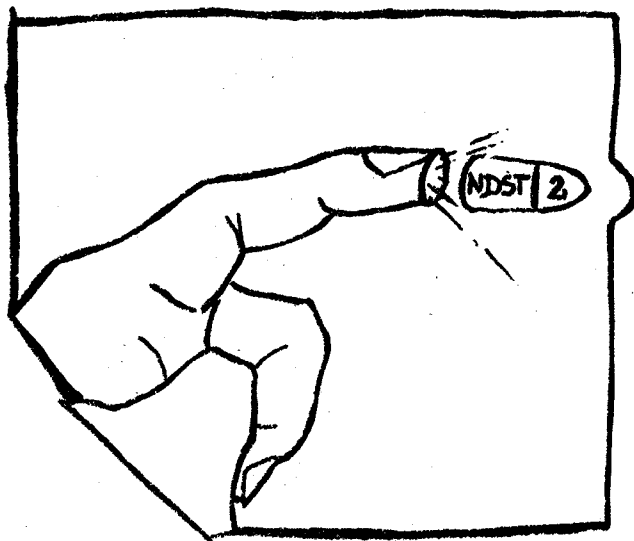
Wacław Tyrwa

chodzący o twórczą postawę. Przy czym osobowość otwarta była hasłem wywoławczym, potem powstał pewien model, który miał znaczenie tylko poglądowe, tak jak model atomu Bohra. Przyjeliśmy wszyscy, którzy się pisaliśmy na drogę osobowości otwartej, że człowiek ma nieograniczone możliwości rozwoju. Nie możemy nic końcowego powiedzieć o rozwoju człowieka. Drugim punktem było to, że najważniejszy w szkole jest samorozwój ucznia, nie uczniów, tylko ucznia. Podstawowym zadaniem szkoły ma być tworzenie sytuacji pozwalających na samorozwój ucznia. Poprzednie programy wyglądały tak, że celem liceum jest przygotowanie do wyższej uczelni. To był już absurdalny cel. Kiedyś zatartowałem - jeżeli celem ucznia w szkole średniej jest zdanie egzaminu wstępnego na wyższą uczelnię, to jeśli np. politechnika zrobi kawał i - mając dużo kandydatów - przeprowadzi egzamin selekcyjny polegający na skakaniu wwyż, to powinniśmy przez cztery lata uczyć skakać wwyż. Ale oni mogą przez te lata rozmyślić się i co wtedy?

W tym drugim punkcie na pierwszym miejscu była osobowość otwarta. Trzeci punkt był taki, że droga do samorozwoju prowadzić ma przez samodzielną, aktywną pracę w życzliwej, przyjaznej atmosferze. Obowiązkiem nas wszystkich było tworzyć trzy rodzaje sytuacji w szkole, a wiedza była jakby środkiem a nie celem. Sytuacja tzw. obowiązkowa, sytuacja do wyboru i całkowicie spontaniczna. Na przykład jeżeli ja chcę po zdjęciu gipsu zacząć chodzić, to powinienem wiedzieć o tym, że w ćwiczeniu mięśni bardzo potrzebny jest np. pewien zespół przeszkód. I powinienem przez niego przejść. To tak, jak człowiek musi przejść przez odrę, przez pewne choroby, żeby się uodpornić. Obowiązkowymi sytuacjami były np. biwaki dla klas 1-szych. Do wyboru to takie, które stwarzały różne rodzaje przeszkód, ale ja mam je sobie sam wybrać - chociażby specjalizacja - i trzecie spontaniczne, które ja sobie sam tworzę. Na przykład przyszła grupa twierdząc, że chcą grać na gitarach elektrycznych. Kroszę bardzo, zakupiono sprzęt. Było i tak, że uczniowie sobie coś tworzyli, co było dla nich ważne. Moja klasa bardzo ubolewała, że oni nie śpiewają. Poprosili koleżankę, już absolwentkę, i ona przychodziła co czwartek - zostawali po lekcjach i uczyli się śpiewać. I do dzisiaj, kiedy się spotykają, to zaczynają od wspólnego śpiewu.

Był to wszystko system, który uniemożliwiał wkroczenie niszczących człowieka czynników, albo przynajmniej ostrzegwał przed powrotem tego z czego świadomie zrezygnowaliśmy. Bo trzeba pamiętać, że szkoła była oazą. Każdy kto się zapoznawał, przynajmniej z ogólnymi założeniami takiej szkoły, był niemi zachwycony, ale jednocześnie twierdził, że to eferweryda i że się to długo nie utrzyma. Nawet dzisiaj mimo że to się przeżyło, nie wszyscy w to wierzą. Myślę, że wiele zjawisk, które u nas przeszły i były rzeczywistością nawet ci, którzy je przeżyli, przestają w nie wierzyć.

**Wyt.:** Jakos do waszej szkoły trafiali uczniowie, których w innych srodowiskach nazywano "nie przystosowanymi". W jaki sposob oni do was trafiali i co ich czekało?



**Odp.:** To było logiczne, bo ta szkoła była dla nie przystosowanych. Uczniowie pokorni, których kontrolowano, którzy uczyli się tak jak trzeba, o-szukiwali szkołę tak jak trzeba - to byli właśnie ci przystosowani. Irzystosowanie zależy przecież od punktu odniesienia. Ja w czwartek byłem kiedyś przystosowany, a w piątek już nie. Trafiali do nas uczniowie, którzy szukali miejsca, gdzie mogliby żyć po swojemu, z zaakcentowaniem swego ja.

**Wyt.:** Mówił Pan o obowiązkowych formach zajęć. Jedną z tych form były wycieczki górskie. Jaką rolę odgrywały one w kształtowaniu osobowości otwartej?

**Odp.:** Wycieczki... Pierwsze moje olśnienie to to, że mogą ludzi ze szkoły wyrwać. I to oficjalnie. Kiedyś jeździłem na wycieczki rzadko, jako wychowawca, ze swoją klasą. Kiedy zostałem dyrektorem postanowiłem nadać wycieczkom rangę sytuacji obowiązkowej. Najważniejsze jest to, że wyjazd odcina ucznia od instytucji szkoły i wreszcie umożliwia, chociaż na dzień, dwa lub trzy, zupełnie inne życie, tzn. wydobycie z siebie swego własnego "ja". Czyli umożliwia spojrzenie na siebie, na klasę i zobaczenie czy jest to układ, w którym nic nie da się zrobić. Oprócz tego, że wycieczki sprzyjały za-

## Nauczyciel

maniu barier między nauczycielem a uczniami i między samymi uczniami, to spełniały one jeszcze bardzo wiele ról. Można było na wycieczkach w sposób prawie laboratoryjny przebadać ogromnie dużo stereotypów psychologicznych. Naucz się poznać siebie, poznawaj siebie, przekraczaj siebie - to można było realizować.

Jeżeli można mówić o partnerstwie między nauczycielem a uczniem na wycieczce, to wtedy, gdy nauczyciel jest jednym z jej członków. Uczniowie organizowali sami wycieczki, a nauczyciel dołączał się jako czynnik urzędowy, bo musiał tam być. Użyłem program rajdów. W pierwszej klasie młodzieżjechała na biwak z harcerzami, gdzie uczyła się obowoznych rzeczy. Trzy czwarte młodzieży nie potrafiło robić namiotów. Po tygodniu poznawali się bardzo dobrze. Wychowawca był gdzieś tam z boku, a harcerze żyli razem ze swoimi kolegami. W drugiej klasie był tzw. rajd organizacyjny, wycieczka przez 3-4 dni. Był to niejako sprawdzian organizacyjny. Czy potrafimy zorganizować dla całego obozu coś solidnego. I udało się lub nie, to było nieważne. Ważne było, że robili to sami uczniowie. W trzeciej był rajd charakterów, do którego zgłaszały się do mnie często klasy, które chciały przekroczyć siebie. Jak jeden z uczestników powiedział: "Ujawnił pan nasze charaktery". "To nie ja, to wy sami, ja tylko stworzyłem sytuację". A w klasie czwartej był słot gwiazdowy, bardzo przyjemna impreza na Turbaczu. W dzień święta szkoły schodziły się wszystkie klasy czwarte w jednym momencie i tam było wspólne ognisko i pożegnanie.

Wycieczki były tylko jednym etapem. Ja przez całe lata marzyłem, żeby mieć dom dla szkoły, gdzieś w górach, żeby mogli tam przyjeżdżać uczniowie kiedy chcą i żeby mogli tam przebywać. W schronisku, najczęściej prywatnym folwarku pana kierownika czy pani kierowniczk, nie udawało mi się stworzyć odpowiedniego klimatu. Zdarzyło się, że ktoś za nas udał się w pracach społecznych z wdzięcznością chciał nam zrobić jakiś prezent. Spytał: "Czy chciałby pan może czego?" "Tak, domu. Ma pan może?" - "A mam". Wziąłem ten dom, wyposażyliśmy go razem z uczniami i nauczycielami - na całą klasę, 30-40 osób. I od wtedy zaczęła się realizować druga część mojej szkoły otwartej. Szkoły, która wyszaby fizycznie poza budynek szkolny, która by pojawiła się w środowisku, zaczęła się uczyć życia. Tam jechała na tydzień klasa i nauczyciele z jednym z rodziców i organizowane tam były normalne lekcje, przy czym ciekawostką jest że lekcje te realizowali uczniowie według programu

podanego przez nauczyciela. Zdarzyło się nawet raz, że nauczyciel pojechał tam sam z czterdziestoosobową klasą i zachorował od razu. Logiczne by było, gdyby wrócił z całą klasą. Ale on nie chciał. I uczniowie tak bardzo chcieli tam zostać, że zorganizowali mu wszelką pomoc, nosili obłady z Karpacza, zorganizowali zajęcia tak samodzielnie i tak wspaniale, że on mówił, iż nigdy takich nie widział i że nie byłby w stanie tak zorganizować zajęć. Okazało się, że ta sama klasa - rozhułkana, rozbrykana, anarchizująca - ta sama klasa wykazała spontanicznie przez homeostazę, bo bardzo chciała tam być, uzdolnienia organizatorskie, opiekuńcze i wszystkie inne wtedy potrzebne. Program zrealizowali większy niż planowano. I tak jeździli tam klasy, co tydzień jedna. Uczyli się po południu, a do południa uczyli się turystyki. A poza tym działali się tam przepiękne rzeczy. Ten dom po wyjeździe każdej grupy był piękniejszy, bardziej czysty.

Pyt.: Ale w pewnym momencie wasze liceum przestało wam wystarczać. Powstała koncepcja "szkoły autorskiej".

Odp.: W tym liceum dokonano się już wiele rzeczy. Po pierwsze - okazało się, że to co uznawano za niemożliwe jest możliwe. Bardzo wielu ludzi wie-

## bez coltów c.d.

rzyło w to, że człowiek może się rozwijać według własnego programu. Wcale nie musi być sterowany. Po drugie, że w samej szkole, takiej jaka jest, można wygospodarować różne sytuacje, w których człowiek może się rozwijać. Mimo zewnętrznych nacisków, oporu nauczycieli, części rodziców, mimo wszystko u wielu nasza szkoła cieszyła się szacunkiem. Kiedy były trudne sytuacje, kiedy trzeba było liczyć na ludzi twórczych, z inicjatywą, przedsiębiorczych, to sięgano do nas. Niemniej jednak została jedna zasadnicza przeszkoda. Tą przeszkodą był niestety folwarczny charakter szkoły. Szkoła jest folwarkiem oddanym do dyspozycji nauczycieli. Mówi się im: macie stworzyć warunki, w których rozwijałyby się osobowość zamknięta. Nie ma właściwie warunków, aby w systemie klasowo-lekcyjnym roztoczyć kontrolę nad nauczycielem. Nie ma. Owszem, ona byłaby możliwa, gdyby były spełnione dwa warunki, o które zaczęliśmy walczyć, tj. o demokratyzację życia w szkole i o uspołecznienie oświaty. Pierwsze dotyczyło tego, aby uczeń w szkole miał prawo współdecydować o tym, co się dzieje, a dzisiaj cała klasa boi się wystąpić przeciwko nauczycielowi. Podam jeden przykład - w klasie trzeciej dopiero dowiedziałem się od uczniów, że gdy byli w klasie pierwszej i nie starli tablicy, a była zima; weszła sobie taka jedna pani nauczycielka i kazała im stanąć przy otwartych oknach na baczność i przez 45 minut tak stali. Jak im powiedziałem, że pogadzam nimi za to i nawet nie chcę o tym więcej słyszeć, zgodzili się, że mam rację. Jak to, czterdziestu uczniów dało tak sobą poniewierać? w XX wieku? - "A bo my się baliśmy, że będziemy represjonowani. Uczeń zatem musi zostać w szkole upodmiotowiony.

A uspołecznienie ma oznaczać, że szkoły są własnością społeczeństwa, a nie żadnej instytucji czy systemu. Jeszcze zanim powstała koncepcja szkoły autorskiej opracowaliśmy projekt ciała zarządzającego szkołą. Mieli do niego wchodzić naukowcy, rodzice, uczniowie, nauczyciele i władze oświatowe. I środowisko. No, ale dzisiaj widzę to jeszcze szerzej. Społeczeństwo, w którym szkoła jest osadzona, winno współdecydować, współuczestniczyć w tym co się dzieje. U nas na przykład na wycieczki bardzo chętnie zgłaszali się rodzice i jeździli, tak że nie było problemu z opiekunami. Ale nauczyciele stanęli przeciwko obu tym procesom. Zmuszeni więc zostaliśmy do rezygnacji z reformowania szkoły od wewnątrz, wysłaliśmy z projektem nowej szkoły - "autorskiej". Byłoby to typ szkoły, w której mogłaby się realizować odrębna, autonomiczna koncepcja poszukująca. Chodziło o to, aby znalazła tam miejsce młodzież niestandardowa, taka która chciałaby się uczyć inaczej. Miałaby to być szkoła, do której

przyjdą ci, którzy chcieliby w niej być. Oto ogólne założenia tej szkoły: zlikwidowany zostałby system klasowo-lekcyjny, selekcyjonizm, byłaby swoboda wyboru i uczestnictwa w różnego rodzaju zajęciach. Zajęcia polegałyby na różnego rodzaju spotkaniach organizowanych w postaci wykładów i seminariów, spotkaniach z ludźmi, którzy byłiby organizatorami edukacji, ale to nie byłoby tylko nauczyciele. Nie chcieliśmy nawet obciążać państwa finansami, a traktować tę rzecz jako samorealizację się, a środki finansowe zdobywać innymi sposobami. Większość "organizatorów" to byłoby ludzie dochodzący, aktorzy, artyści, inżynierowie, naukowcy, ogromna liczba zgłaszała akces. Jeszcze dzisiaj dowiaduję się, jak wielu ludzi żałuje, że tej szkoły nie ma, że bardzo liczyli na to, iż tutaj znajdą możliwość realizacji /samo/. Najważniejszą była idea uszanowania drogi rozwojowej ucznia. I zupełnie innego kontaktu nauczyciela z uczniem. Zresztą sami uczniowie mogli na siebie przyjąć rolę nauczycieli. To też zaczęliśmy realizować w tym liceum. W każdej klasie znajdowali się uczniowie, którzy stawiali się świetniejszymi nauczycielami niż my sami. Myślę, że w szkole autorskiej stałoby się to samo. W mojej praktyce zdarzali się nauczyciele, którzy nie potrafili przekazać wiadomości uczniom w sposób doskonały. Ale za to byli bardzo ciepłymi, serdecznymi wychowawcami. I to wystarczało, a czasem było ważniejsze, niż żeby dobrze nauczyć matematyki. Bo uczniom brakowało tego. Ja zresztą szczegółowy plan działania szkoły miałem przygotowany, opracowany, bo musiałem go mieć, i byłem całkiem spokojny, że w tym "anarchicznym", jak niektórzy to nazywali, świecie wspaniali ludzie będą wyrastać.

Iyt.: Do szkoły średniej trafiają ludzie, którzy przez kilkanaście lat kształtowani byli według innego modelu, w innej szkole. Jak to, co się dzieje wcześniej z dziećmi ma wpływ na uczniów szkoły średniej?

Odp.: To było zawsze przedmiotem mojej dużej troski, bo to co obserwuję i widzę najgorszego, co dzieje się z osobowością rozwijającego się człowieka, to co uniemożliwia mu samorozwój - to zaczyna się w domu, przedszkolu i szkole. W domu ma to charakter chaotyczny, na całe szczęście nie wynika ze złej woli, tylko z braku wiedzy, kompetencji, a najczęściej z braku czasu, ze zniechęcenia, czy z lenistwa. Żeby dziecku, które rozwija się na naszych oczach, tak w pełni stworzyć warunki do samorozwoju, chce się nim postarować, bo sterowanie jest najszersze, najłatwiejsze. To nie zwalnia z winy rodziców. Myślę, że o tym trzeba stale mówić. Jeśli ktoś się decyduje, żeby być rodzicem, to musi wiedzieć, że bierze ogromną odpowiedzialność za nowego człowieka, który się rodzi. Często słyszę "to dziecko jest moje". Dziecko należy do siebie. Rodzice bardzo łatwo usprawiedliwiają siebie. Wydaje się jednak, że wielu rodziców przeżywa i cierpi, że nie widzi poza batem i cukierkiem żadnych innych metod. Cały czas rodzice uważają, że dziecko można wychować na takiego człowieka, jakiego się chce. A nie wiedzą o tym, że dziecku należy stworzyć warunki na to, aby wychował się. Tak niewiele rodzice musieliby zrobić. Nie muszą mieć wcale głębokiej wiedzy psychologicznej o człowieku. No, a szkoła... Od szkoły podstawowej zaczyna się wyniszczanie w makabryczny sposób osobowości dzieci. klasy pierwsze i drugie to przykład najbardziej totalitarnego systemu. Tym bardziej, że dzieci w tym wieku są ufnie, tak bardzo wierzą w to, że ci dorośli, którzy ich prowadzą, są mądrzy, że wszystko co od nich pochodzi jest dobre i że czemuś dobremu służą. A nauczyciele programują dzieci. Są to metody prymitywne, oparte na całkowitej, apodyktycznej władzy i to nawet w stosunku do rodziców. Jak Polska długa i szeroka nie udało mi się spotkać dziecka, które na pytanie "Czy lubisz szkołę?" odpowiedziałoby "Tak". No i co zrobić z tym fantem skoro tak kształtowany uczeń trafia do szkoły autorskiej. Szkoda, że do szkoły podstawowej tak się dzieje. A jeżeli w szkole średniej okazuje się, że człowiek może chodzić, mimo że tak dżugo był w gipsie, to jest to optymistyczne. Świadczy o cholernej niezniszczalności człowieka. Tak naprawdę to doszedłem do jednej rzeczy w uczeniu - że człowiekowi w uczeniu się potrzebny jest on sam - tak jak w wędrownkach górskich, jeżeli chce się coś przeżyć, zobaczyć więcej lub szybciej, to najlepiej iść samemu.

/rozmowę przeprowadził D.3.  
opracował M.W./

## REFLEKSYJE

## Dwie wierności

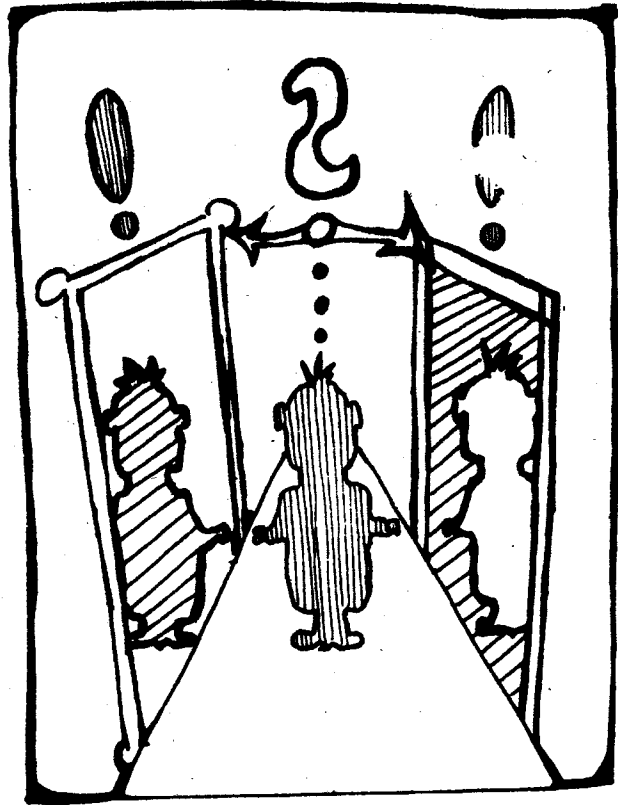
Ludziom, którzy w przeszłości związani byli z ruchem komunistycznym, a potem z nim zerwali i znaleźli się wobec niego w opozycji stawia się zarzuty dwójakiego rodzaju. I tak - po pierwsze - zarzuca im się, że komunistyczna /najczęściej stalinowska, ale nie tylko/ przeszłość obciąża ich do tego stopnia, że cokolwiekby od tej pory zrobili jest moralnie podejrzane; najlepiej więc, aby nie robili nic. Zarzut drugi dotyczy braku lojalności wobec byłych towarzyszy i ruchu komunistycznego. O ile zarzut pierwszy stawiany jest przez ludzi, którzy nigdy komunistami nie byli, to zarzut numer dwa stawiają zwykle byli towarzysze, którzy sami z ruchem i z partią nie zerwali. Zarzutami pierwszego rodzaju zajmować się bliżej nie będziemy; wystarczy powiedzieć, że są one w ustach przeciwników komunizmu zarówno sprzeczne z etyką chrześcijańską, która wszakże nakazuje winy przebaczać, jak i nierozsądne, bo zraża się w ten sposób potencjalnych sojuszników. Warto jednak uważnie rozpatrzyć zarzuty drugiego rodzaju, większość z nas bowiem uważa wierność za moralnie wartościową.

Postawmy sobie zatem pytanie następujące: czy każdy rodzaj wierności jest godny szacunku, lub - co na jedno wychodzi - czy brak wierności zawsze należy potępić? Odpowiedź na oba pytania jest, jak się zdaje, negatywna: czasem to wierność jest godna potępienia a jej wypowiedzenie jest nakazem sumienia. Jest tak dlatego, że istnieją nie jedna, a dwie wierności: pierwsza jest moralnym obowiązkiem, a druga degraduje nas jako istoty ludzkie; pierwsza to wierność wartościom, druga - instytucjom i ruchom społecznym.

Wierność wartościom to wierność trudna - nie tylko dlatego, że dochowuje się jej zwykle wbrew różnym naciskom, jakie wywiera na nas życie, lecz także i z tego powodu, że stale mamy do czynienia z sytuacjami, w których wyrzec się musimy jednej wartości w imię drugiej. Aresztowany konspirator, który kłamie, aby ocalić kolegów; instruktor harcerski, który wbrew przekonaniom uczestniczy w prorządowej imprezie, aby móc dalej pracować z młodzieżą, czy wreszcie ktoś /jak swego czasu George Orwell/, kto potępiając wojnę wstępuje do wojska, by bronić swego kraju - wszyscy oni dokonują wyboru pomiędzy wartościami /prawdomówność-bezpieczeństwo kolegów, wierność przekonaniom-wychowanie młodzieży, nieużywanie przemocy-wolność kraju/, przy czym wybór jednej oznacza w danej sytuacji rezygnację z drugiej. Co gorsza, każda taka sytuacja jest nieco inna i nie są

możliwe gotowe kodeksy postępowania, które zapewniłyby każdorazowy właściwy wybór. Ostateczną instancją pozostaje więc moralna wrażliwość danego człowieka - to co zwykle nazywamy głosem sumienia.

Ta nasza sytuacja bycia w świecie, gdzie wciąż wybierac trzeba między wartościami, którym pragniemy pozostać wierni, ma pewną bardzo ważną konsekwencję: wyboru słusznego nie sposób dokonać raz na zawsze /bo gdy zmienia się okoliczności, zajęć może konieczność ponownego - innego - wyboru/. Gdy tedy przystępujemy do jakiegokolwiek ruchu społecznego, dlatego, że realizuje on pewne wartości, musimy nieustannie ba-



czyć czy akces ów nie zmusza nas w danym momencie do czynów niezgodnych z sumieniem, innymi słowy - czy nasza działalność w ruchu nie powoduje więcej złego niż dobrego. Za przykład może tu posłużyć postawa George'a Orwella, który przez całe życie związany był z lewicą, z ruchem socjalistycznym, i swoje w tym ruchu uczestnictwo uważał za nakaz sumienia, a który - również zgodnie z nakazem sumienia - walczył piórem z komunistycznym totalitaryzmem, za co był przez swoich lewicowych kolegów odsądzony od czci

## ZMIERZCH BOHATERÓW?

Od dzieciństwa jesteśmy wychowywani na wzorach, temu służą czytane nam bajki, potem powieści dla młodzieży, filmy, sztuki teatralne. Zastanawiając się nad tym, kim są osoby czy postacie, które nam imponują, postanowiliśmy w przyjacielskim gronie przedstawić sobie nawzajem swoich bohaterów w ramach swoistej towarzyskiej rozrywki. Założeniem była pełna szczerześć i otwartość. Wyniki trochę nas zaskoczyły.

Galeria bohaterów przypominała prawdziwą mieszankę koktajlową: od księcia Jeremiego Wiśniewieckiego, poprzez Leonida Teligę, surowego nauczyciela matematyki, młodego łowcę z filmu "Nigdy nie kończąca się historia" do Izabelli Czartoryskiej z Puław, którą wybrała jedyna w tym gronie dziewczyna.

Zdziwiło nas wszystkich, że tak wielu z naszych "idoli" żyło w dość odległej przeszłości, że nikogo nie zafascynowała jakaś osoba żyjąca teraz. Nikt wi-

dać nie odpowiadał naszemu wyobrażeniu o bohaterze. Może zresztą to jakaś podświadoma ucieczka od rzeczywistości, która przeraża koniecznością przystosowania się /czytaj: bycia niezauważalnym, zamaskowanym konformistą/.

Jak się przekonaliśmy, wszystkie wybrane postacie były osobami o prawdziwie silnych, acz nie kryształowych charakterach. Wszystkie walczyły z otoczeniem, wymuszając na nim swoją wolę w dążeniu do jasno określonego przez siebie celu. To, co nas najbardziej zafascynowało - one ów cel osiągnęły! Każda z nich kierowała się pewną własną etyką, niekoniecznie liczącą się w sposób całkowity z dobrem nawet bliskich jej osób. Jednak gdy przyjęła już jakiś zespół zasad, pozostawała mu wierna nie uginając się przed opinią otoczenia. Tak, czy to książkę Jeremi, czy piękna Izabella to ludzie o niezwykle silnej woli, konsekwentni nawet wbrew tzw. własnemu interesowi.

Nieoczekiwanie okazało się, że wszyscy oni byli samotnikami ducha i może dlatego tak wielu przyciągali do siebie, bo otaczała ich zazwyczaj spora grupa rozmaitych ludzi, zachowujących jednak pełen respektu dystans.

Byli niezwykle barwnymi postaciami, niespokojnymi, w ciągłej pogoni za czymś niezwykłym, uniejący nadać swoim marzeniom realne kształty, które ostatecznie zdobywali. I, zaiste, potrafili w tym sobie nie osz-



i wiary jako zdrajca, "ptak, co własne gniazdo ka-  
la" i tak dalej.

O ile postawę Orwella uważać można za przykład  
wierności wartościom, to bohater jego powieści "Rok  
1984" - Winston Smith - jest człowiekiem, który po  
nieudanej próbie buntu staje się totalnie wierny  
partii, do tego stopnia, że partia decyduje za niego  
co jest dobre czy złe, co jest prawdą czy fałszem.  
Jest to dość trafna charakterystyka "prawdziwego ko-  
munisty", to znaczy człowieka bezwzględnie wiernego  
partii. Ale dotyczy to także tych wszystkich, któ-  
rzy w imię wierności ruchowi społecznemu czy insty-  
tucjom państwowym gotowi są na wszystko. Taka wier-  
ność jest - wedle słów Mickiewicza - "psu zasługą,  
człowiekowi grzechem".

Nie znaczy to bynajmniej, że nie powinniśmy wią-  
zać się z żadnym ruchem społecznym; sądzić można na-  
tomiasz, że pewnych ruchów należy zdecydowanie uni-  
kać, tych mianowicie, w których dokonuje się absolu-  
tyzacja jakiejś wartości, to znaczy - pewna wartość  
uznana zostaje za najważniejszą zawsze i wszędzie.  
Taką wartością może być klasa robotnicza, rewolucja,  
narod/ lub pokój, bądź nawet takie abstrakcje jak Wol-  
ność czy Sprawiedliwość; może to być właściwie każda  
wartość. Następnie ruchy te - nazwijmy je totalnymi -  
identyfikują się całkowicie z daną wartością, to  
jest uznają każdego, kto do nich nie należy za wro-  
ga klasy robotniczej, zdrajcę narodu, podżegacza wo-  
jennego i tak dalej. Logiczną konsekwencją takiej  
identyfikacji jest żądanie od uczestników bezwzględ-  
nej wierności i posłuszeństwa wobec ruchu, to zna-  
czy - wobec jego przywódców.

Gdy taki ruch totalny ma władzę, żądanie owej  
"psiej" wierności obejmuje wszystkich obywateli. Tak  
było zarówno w Trzeciej Rzeszy jak i w Związku Sowie-  
ckim, które często nazywa się państwami totalitarnymi.  
Ruchami, którym władzy objąć się nie udaje są na  
przykład organizacje terrorystyczne; jeśli ich człon-  
kowie akceptują zbrodnie takie jak porwania i morder-  
stwa, to robią to właśnie w oparciu o przekonanie, że  
ich cel - pewna wartość - jest zawsze i wszędzie naj-  
ważniejszy - inaczej mówiąc - że cel uświęca środki.

Nie znaczy to rzecz jasna, że narod/ czy pokój war-  
tościami nie są; chodzi jednak o to, aby pozostać im  
wiernym nie wyrzekając się jednocześnie innych war-  
tości, to znaczy nie ulec mechanizmowi, w którym  
wierność wartościom zmienia się w wierność ruchom  
bądź instytucjom.

O ile - jak powiedzieliśmy - wierność wartościom  
jest wiernością trudną, o tyle ta druga wierność jest  
łatwa dzięki temu, że dostarcza prostej metody roz-  
strzygnięcia jak należy postąpić, co z kolei zapewnia  
nam błogie poczucie, że jesteśmy w porządku o ile  
tylko wykonujemy polecenia partii czy innej orga-  
nizacji. Za ewentualne zło, które przy tym wyrzą-  
dzamy odpowiadają rzekomo tylko ci, którzy wydają  
rozkazy i układają programy.

W rzeczywistości jednak jesteśmy odpowiedzialni  
za to, co robimy a czasem także i za to, czego nie  
zrobiliśmy i rzadko kiedy wolno nam uznać, że mamy  
czyste sumienie, a już na pewno nie wtedy, gdy zas-  
tapiamy je statutem partii czy innym kodeksem. W swo-

czeszczać. Przy szaryźnie, małostkowości i zapobiegli-  
wości dzisiejszego życia ich czyny, nawet te niekonia-  
niecznie do końca moralne wydały nam się wielkie i  
porywające. Każde ich uczucie, każde działanie było  
pełne pasji, angażowali się we wszystko cali. Zarówno  
bajkowy wojownik, jak i dwaj współcześni nam - Teliga  
i nauczyciel /duchy przeszłości, jak wyraził się je-  
den z naszych kolegów/ to prawdziwi tytani pracy, nie  
tej drobniarzewej i pozornej, byle coś dziergać, ale  
pracy olbrzymów.

I jeszcze ich wierność sobie, która najbardziej  
nas urzekła, wiara we własne siły i nieustanne po-  
rzucanie rzeczy już osiągniętych, aby dalej wypróbo-  
wywać swoje możliwości.

Zastanawialiśmy się, czy w jakiś sposób utożsa-  
miamy się z nimi, czy chcemy ich naśladować. Okazało  
się, że właściwie nasza fascynacja ogranicza się do  
podziwu, do wyszukiwania potwierdzeń naszych wyobra-  
żeń o bohaterach, a nie do chęci dorównania im, choć-  
by w najmniejszym stopniu.

Brak nam chyba przekonania o własnej sile, boimy  
się całkowitego oddania się jakemuś celowi. Wolimy  
pozostawić sobie ten, choćby najmniejszy margines bez-  
pieczeństwa, który "w razie czego" pozwoli nam wyco-  
fać się. Wpojono nam ostrożność, niechęć do ryzykowa-  
nia, umiętność poprzestawania na małym. Czyżby je-  
dyną rzeczą jaka nam pozostaje była zazdrość? Czy kto-

jej znakomitej "Ltyce bez kodeksu" Leszek Kożakow-  
ski proponuje zastąpić ową fałszywą wierność wrażli-  
wością na wartości obecne w tradycji kulturalnej do  
jakiej się przyznajemy. Tę wrażliwość moralną uży-  
skujemy obcując z wielkimi dziełami kultury ludzkiej,  
które - w przeciwieństwie do uwikłanych w konflikty  
teraźniejszości ruchów społecznych i instytucji -  
bezinteresownie wskazują drogę naszemu sumieniu.  
Dlatego w herbertowskim "Przesłaniu pana Cojito"  
czytamy:

powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy  
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz  
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem  
jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku

...  
Bądź wierny Idz

K.J.

## KRYMINALIŚCI HARCERZOM

"Życie Warszawy" z dn. 7-8 lutego br. przynosi  
niezwykle ciekawą wiadomość w rubryce "Kronika są-  
dowa". Otóż w jednej z warszawskich kawiarni pewien  
pan naubił trzem tajemnym milicjantom, potem po-  
straszył ich gazowym rewolwerem i próbował uciec.  
Oczywiście został złapany i skazany. To nic niez-  
wykłego. Ale wyrok w tej banalnej sprawie zdumiał  
mnie swym nowatorstwem i możliwościami, jakie stwa-  
rza na przyszłość. Mianowicie ów gazowy rewolwe-  
rowiec skazany został na rok więzienia /z zawiesz-  
niem/, 60 tys. zł. grzywny oraz dwa razy po 10 tys.  
zł. tzw. nawiązki na rzecz chorazwi ZMP!

Od dawna wiem, że harcerze to ludek zaradny i  
wynajdujący sobie różne formy zarobkowania, ale chy-  
ba nie doceniłem dotąd skautowej pomysłowości. A mo-  
że to władze wymyśliły wreszcie inny sposób zdobywa-  
nia przez harcerzy pieniędzy niż zbieranie złomu,  
makulatury i butelek? Pomysł znakomity i skłania-  
jący do jego twórczego rozwijania. Proponuję więc,  
by organa ścigania i wymierzania pomagały harcerzom  
także poprzez organizowanie kwesty w zakładach kar-  
nych lub kierowanie przestępców do ciężkich robót  
na obozach harcerskich. Ewentualnych więźniów poli-  
tycznych można skazać na przymusowe drukowanie pism  
"Motywy" i "Na Przełaj", pana Romaszewskiego zmusić  
do pracy w Rozgłośni Harcerskiej, a członków WiP-u  
kierować do prowadzenia zajęć obronnych w drużynach.

A może wyrok warszawskiego sądu to oferta współ-  
pracy dla harcerzy? Tropiciele i odkrywcy będą po-  
magali łapać bimbrowników i włamywaczy, a sąd be-

CIĄG DALSZY NA STR.

kolwiek potrafi żyć nie mając dla siebie odrobiny sza-  
cunku? Czy więc należy dążyć do zabicia swojej indywi-  
dualności w obawie, żeby przypadkiem nie wyróżnić się  
z szaro-burego otoczenia? Oóż, można sobie przyjąć  
takyte kameleona - mistrza przystosowania, ale wtedy  
nie popłyniemy na dalekie oceany, nie zostaniemy ani-  
matorami życia kulturalnego kraju, nie obronimy Zba-  
raza, nie zyskamy szacunku i oddania naszych uczniów.  
I nie będziemy mogli mieć pretensji do nikogo o nasze  
szare i beznadziejne życie, sprowadzone do miski bi-  
gosu, wódki raz w tygodniu i kiepskiego przeglądu vi-  
deo z telewizyjnej listy przebojów. Wybór jest tylko  
nasz, niezależny od ustroju, a pokonywanie trudności  
tym świetniejsze uczyni zwycięstwo.

Wychodziliśmy ze spotkania zamyśleni. Zestawienie  
postaci - fascynacji i osób z realnej rzeczywistości  
okazało się bolesne. Pospolitość, którą oferuje nam  
oficjalny "dzisiaj dzisiejszy", rzecznikami której chcą  
nas widzieć obecni władcy została odsonięta w pełni  
swej przewrotności. Czy uświadomieni będziemy umieli  
oprócz się jej, walcząc z biernym otoczeniem, z ma-  
lostkowymi troskami ludzi, którzy chcą dla nas "jak  
najlepiej" niszczyć w nas wszelką energię i chęć do  
prawdziwego, godnego, intensywnego życia? Jeszcze jest  
czas by zebrać siły. To kim będziemy ma początek w  
nas samych, już dzisiaj!

S.U.



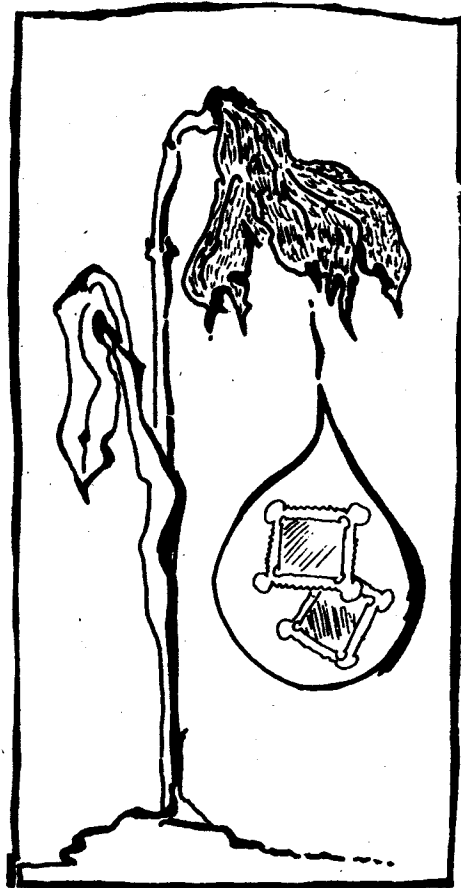
## Spotkanie pierwsze

Są na świecie muzea i galerie sztuki nowoczesnej, w których spotkać można dyskutujących młodych ludzi w spodenkach gimnastycznych lub z rakieta tenisową pod pachą. Galerie takie są miejscami, do których wpada się w środku dnia, pomiędzy zajęciami, aby rozzerwać się, spotkać z kimś, porozmawiać. Ten obraz zwyczajnego, codziennego i naturalnego obcowania ze sztuką musi się wydawać czymś nierzeczywistym komuś, kto obserwował zjawiska społeczne towarzyszące głównej wystawie sztuki francuskiej, która miała ostatnio miejsce w Warszawie. "4xParyż" zobaczyło mnóstwo osób, w tym niezmiernie liczne grupy ludzi młodych. Mimo ciężkich mrozów wycieczki przyjeżdżały autokarami i pociągami ze wszystkich, nawet najdalszych stron Polski. Lepiej jednak nie robić statystyk, dla ilu ludzi z nich był to pierwszy bezpośredni kontakt z obrazami innymi niż pojawiające się na ekranie TV i sztuką inną niż płótna Matejki widziane w muzeum lub obrazki sprzedawane na Starym Mieście. W każdym razie reakcje młodej publiczności świadczyły o tym, że kontakt ze współczesnym malarstwem jest rzeczą trudną, niebezpieczną i bolesną. Notowano objawy apatii i paniki, zażenowania i oburzenia. Zdarzało się, że młodzi ludzie pękali ze śmiechu widząc, że rzeźba zatytułowana "kon" wcale konia nie przypomina. Inni reagowali mniej otwarcie, mimo podejrzeń, że to właśnie ich ktoś /niech szczerzą artyści! / usiłuje zrobić w konia i że wszystko to jest kpina z widza. Gdzieś niedługo snuli się udręczeni wycieczkowiec skrupulatnie spisując nazwiska i daty z karteczek pod obrazami. Bezradność w sytuacji braku własnego zdania i jednoczesna potrzeba wygłoszenia jakiegoś sądu - czy nie prowadzi to do zachowań konformistycznych, powtarzania cudzych sądów, fałszywych zachwytów, albo równie fałszywej dezaprobaty...? Ktoś, kto to odczuł, musiał wychodzić z wystawy z uczuciem upokorzenia i niesmaku, i nie byłoby dziwne, gdyby od tej pory zaczęła unikać podobnych sytuacji.

Istnieje silne przekonanie, że sztuka jest dziedziną dla wybranych, niedostępną dla ogółu. Przekonanie, że jeśli idzie o stosunek do sztuki, ludzie dzielą się na znawców i "laików". To rodzi kompleksy, jakich nikt nie odczuwa gdy mowa, na przykład, o muzyce /dlaczego?/. Towarzyszy temu brak normalnego życia artystycznego, brak krytyki artystycznej, brak pism o sztuce, dyskusji; wszystkiego tego, co prowadziłoby przeciętnego, zainteresowanego człowieka do galerii i skłoniłoby go do odnalezienia osobistych preferencji i gustów, do wykształcenia własnego sądu. Tymczasem pomiędzy takim przeciętnym młodym człowiekiem a współczesnym mu żyjącym i tworzącym artystą istnieje obszar pustki absolutnej. Nie ma szans na kontakt i porozumienie. A są to już znamiona naprawdę tragicznej sytuacji, tak współczesnej sztuki, jak i współczesnego człowieka. Bo być może rzeczywiście obrazy nie są już nam potrzebne, skoro nie potrafimy ich rozumieć, ani odczuwać. Nie rozumiany i nie potrzebny obraz przestaje być przedmiotem tajemniczym, budzącym wzruszenia, a zmienia się w rzeczywiście absurdalny prostokąt pokryty olejną farbą, który nie wiadomo do czego służy i dla którego nie ma miejsca.

Nie, miejsce jest. W naszym najlepszym z ustrojów, tak jak w każdym cywilizowanym kraju muszą odbywać się wystawy malarstwa, musi istnieć życie artystyczne. W końcu powołano w tym celu odpowiednio wyspecjalizowane instytucje. Zawsze znajdzie się coś do wystawienia, zawsze ktoś przyjdzie obejrzeć. Różne są w końcu powody, dla których ludzie chodzą na wystawy. Jeśli jednak nie stać nas na autentyczną potrzebę kontaktu ze sztuką, to zdajmy sobie chociaż sprawę, że wraz z innymi nadmuchujemy wielki pusty balon.

A.K.



Istnieje w naszym kraju sieć instytucji utworzonych po to, aby świadczyć o normalności naszego życia artystycznego i trosce państwa o sprawę kultury. Cały rozbudowany system administracyjny zajmuje się rozpowszechnianiem i prezentacją sztuki. Lokalami wystawowymi dysponują: Biura Wystaw Artystycznych, Przedsiębiorstwo Państwowe "Sztuka Polska", Spółdzielnia "Plastyka", Przedsiębiorstwo Handlu Sztuką DASA, Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki /Klub Międzynarodowej Prasy i Książki/. Wszystko jest tu zdefiniowane i nie ma mowy o nieporozumieniach; terminem "sztuka" obejmuje się przedmioty wykonane przez artystów plastyków, zaś artysta plastyk to człowiek legitymujący się odpowiednim zaświadczeniem - tu: dyplomem ukończenia państwowej wyższej szkoły sztuk pięknych. Tymczasem wraz z kolejnymi rocznikami opuszczającymi Akademię, rośnie liczba artystów, z których każdy ma prawo do korzystania z opieki państwa. Przedsiębiorstwa zajmujące się sztuką prowadzą raczej działalność administracyjną, niż dokonują wyboru dzieł i artystów. W systemie wystaw organizowanych zgodnie z urzędowymi założeń ginie jakakolwiek ocena wartości artystycznej. W grę wchodzi sprawy nie mające nic wspólnego ze sztuką: przynależność artysty do związku, partii, jego postawa polityczna, czy też chęć wykazania się organizatora wystawy przed zwierzchnikami. Interesujące zjawiska artystyczne gubią się w masie niejako i przedmiotów nikomu niepotrzebnych, a nazywanych sztuką. Ten stan rzeczy trwa już tak długo, że powoli przestajemy widzieć w tym absurd. Naturalne, że w tej sytuacji rodzi się w człowieku doskonała obojętność na wszystko, co namalowane. Państwowe salony wystawowe działają jak biura, a

nie jak galerie. Galeria bowiem to miejsce, gdzie pokazuje się dzieła sztuki z wiarą, że są one cokolwiek warte. Galeria jest propozycją. Lansując wybranych artystów z natury rzeczy kształtuje się pewne środowisko, przyciąga ludzi, którym prezentowany kierunek odpowiada. Wytwarza więc zdrowe reakcje - dzięki niej przeżywa się pierwszy stopień wtajemniczenia - umiejętność wyboru. Oczywiście pod warunkiem, że istnieje wiele mogących ze sobą konkurować galerii, co jak mogłoby się wydawać ma miejsce w Warszawie. Otóż według oficjalnych danych w stolicy działa ich blisko sto! Galeriami nazywa się m.in. salony popularnych KMPiK-ów. Kierownicy tych placówek, zatrudnieni na etatach plastyków, odpowiedzialni są przed Działem Propagandy Przedsiębiorstwa Uposażenia Prasy i Książki, wykazują się więc liczbami ekspozycji, częstymi zmianami wystaw. Obowiązują ich też organizowanie pokazów okazjonalnych - na przykład w Galerii Sciana Wschodnia prezentuje się co roku z okazji kolejnego święta rewolucji wystawę okładek radzieckich płyt gramofonowych, a galeria KMPiK przy Nowym Świecie celuje w pokazy fotograficzne z obrad plenium KC lub spotkań z radnymi. Poza tym specjalnością KMPiK-ów są prezentacje realistycznych obrazów o neutralnej tematyce i kiepskim poziomie artystycznym: sympatycznych portretów, pejzaży, kwiatów oraz koni. Najbardziej przerażająca jest ilość tych płócien i to, że powszechnie traktowane są jako dzieła sztuki. Ich wszechobecność jest kolejnym elementem rozbudowanej ficcji polskiego życia artystycznego.

Galerie i salony prowadzące sprzedaż sztuki współczesnej /"Plastyka", "Sztuka Polska", DESA/ prezentują to, co sprzedaje się najlepiej: martwą naturę leżącą i stojącą, ceramikę, szkło artystyczne, biżuterię. Przeważa więc sztuka użytkowa i na próżno by szukać tu kontaktu z prawdziwym współczesnym malarstwem lub rzeźbą.

Biura Wystaw Artystycznych, podległe Ministerstwu Kultury i Sztuki stanowią ogromną, działającą w całym kraju scentralizowaną instytucję. W Warszawie BWA dysponuje czterema lokalami wystawowymi - są to: Centralne Biuro Wystaw Artystycznych "Zachęta", galeria Test na Krakowskim Przedmieściu, Galeria LDK przy Placu Konstytucji i Galeria Rzeźby przy ul. Marchlewskiego. Pokazuje się tu rzeczy różne. "Zachęta" pełni funkcje reprezentacyjne, stąd częste wystawy sztuki obcej i co jakiś czas wydarzenie w rodzaju "4 x Paryż". Jedną z ważniejszych wystaw polskiej sztuki ostatnich lat, "Ekspresja lat 80-tych", odbyła się właśnie w BWA w Sopocie. Zdarzają się jednak wystawy, o których decydują czynniki pozartystyczne. Zazwyczaj działa tu centralne rozdzielnictwo - coś lub kogoś trzeba pokazać, a co owo coś lub ktoś sobą prezentuje, schodzi na dalszy plan...

Na szczęście wiele zależy od ludzi. Czasem nawet KMPiK może być galerią dobrą i ambitną, jak np. Żoliborska Galeria Młodych /GMPiK przy Al. Zjednoczenia/. Z wysokiego poziomu dzieł pokazywanych w swoich salonach nigdy nie zrezygnowali ludzie pracujący w galerii Foksal i Galerii Studio przy Centrum Sztuki Studio /PKiM/. W obu galeriach przedstawiana jest twórczość artystów znanych, często o światowej renomie. Nie są to w związku z tym galerie młode, żywe, eksperymentujące. Taki był jednak Foksal w latach siedemdziesiątych, a więc jest to galeria z własną historią, posiadająca wypracowany własny profil, galeria, jakich powinno być wiele. Dziś każda ekspozycja w pałacu przy ulicy Foksal staje się wydarzeniem, w każdym razie dla jego bywalców.

Galerią żywą pozostaje już od dziesięciu lat Pracownia Dziekanka /w akademiku ASP przy Krakowskim Przedmieściu/ należąca do Akademii Sztuk Pięknych. W odróżnieniu od innych galerii studenckich, które znajdują się pod patronatem ZSP, Dziekanka podlega wyłącznie zwierzchnictwu rektora Akademii. Wystawiają tu przede wszystkim ludzie młodzi, eksperymentujący. Prezentowane są często zjawiska z pogranicza malarstwa, rzeźby i teatru. Jest to rzeczwiście PRACOWNIA, miejsce, gdzie liczy się przede wszystkim działanie. Zdarzają się w niej pokazy doskonałe, zdarzają i bulwersujące, co najlepiej świadczy o intensywności życia galerii.

Wprowadzenie stanu wojennego stworzyło zupełnie nową sytuację. O ile bowiem drugi obieg literatury funkcjonował od dawna, o tyle dla plastyki dopiero wówczas się rozpoczął. Artyści stanęli przed koniecznością /czy może możliwością?/ wyboru. Nastąpił podział na kolaborujących z władzą, milczących, oraz prezentujących swoje dzieła poza siecią państwowych

galerii i instytucji kulturalnych. Portrety tych, którzy wybrali rozwiązanie ostatnie, nie będą zdobytymi okładkami reaktywowanego pisma "Człtuka". Wszyscy przekonali się po raz kolejny, jak złudna jest rzekoma neutralność i apolityczność sztuki. Znów stało się jasne, że miejsce eksponowania obrazów ma zasadnicze znaczenie dla ich wymowy i odbioru.

Drugi obieg zatem stał się faktem. Można się o tym przekonać oglądając wystawy organizowane w kruchtach warszawskich kościołów. W Muzeum Archidiecezjalnym od 1981 roku odbywają się stałe pokazy malarstwa współczesnych twórców polskich. Przypomina to jest twórczość emigrantów, których dzieła nie pokazywano w naszym kraju od dawna, np. malarstwo Józefa Czapskiego, czy grafiki Jana Lebensteina. Wystawiali tu artyści, którzy zrezygnowali z oficjalnego życia artystycznego, jak Leszek Sobocki, Łukasz Korolkiewicz. Podobną rolę pełni kościół na Żytniej, który gościł m.in. wystawę Marka Roztworowskiego pt. "Wiebo nowe i ziemia nowa?". Kościół św. Krzyża udostępnił artystom podziemia, a przy akademickim kościele św. Anny powstała galeria "Wieża", gdzie pokazywana jest przede wszystkim twórczość młodego pokolenia plastyków.

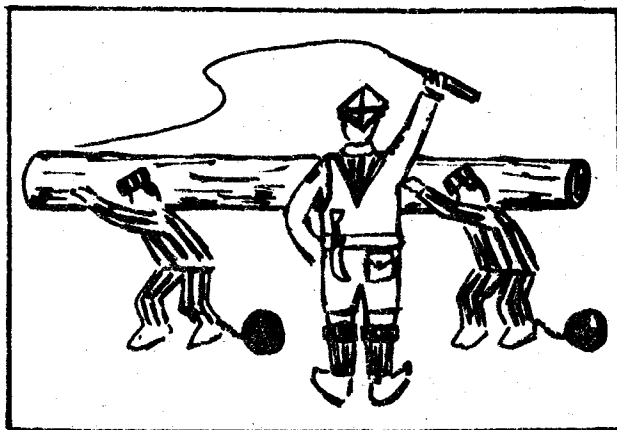
Państwowy system prezentacji sztuki zawsze był podważany i niekiedy przewyżczony przez podskórne życie. Pojawiła się wreszcie możliwość działań poza systemem. Na ile są to działania niezależne i czy w ogóle niezależność jest możliwa to już inne pytanie. Sztucznie napędzane, instytucjonalnie strzeżone tak zwane "życie artystyczne" jest kompletną fikcją, nad którą nie warto dłużej się zastanawiać. Można jednak poprzedzając się przez gąszcz pozorów w poszukiwaniu czegoś prawdziwego. Sztuka nie przestała istnieć i piszący te słowa głęboko wierzą, że trzeba dla niej uratować miejsce w życiu każdego człowieka.

A.M.

## Kryminaliści harcerzom-c.d.

dzie zmuszał tychże do płacenia na harcerzy? My zaś będziemy mieli modelowy przykład socjalistycznego wychowania i resocjalizacji. Druhowie - czuwajcie! To się może opłacić.

M.W.



x/ Zbieranie butelek jako sposób zdobycia pieniędzy na działanie polecał też niedawno Zbigniew Bujak w wywiadzie dla gorzowskiego "Szańca". Nie bardzo rozumiemy, jak się to ma do walki z alkoholizmem i zdrowego rozsądku. Idąc jednak za dobrą radą postanowiliśmy sprzedać butelki pozostałe po spotkaniu redakcji i uzyskane w ten sposób walory przeznaczyć na ufundowanie nagrody za najlepsze pomysły ekonomiczne, przyznawanej działaczom wysoko i szczebla, ze szczególnym uwzględnieniem członków TR"3", TR"1 i RKW.

# „SZKLANA POGODA”

Niedzielnny, późny obiad. Rodzina i znajomi zgromadzeni przy stole, w kącie pokoju cicho "gra" telewizor. Przy deserze uwagę wszystkich przykuwa rozpoczynający się dziennik. Towarzyszy mu cała lawina komentarzy. Siedzę, słucham i ogarnia mnie coraz większe obrzydzenie. Nie do tego, co na ekranie, bo to już do mnie nie dociera, lecz do treści komentarzy właśnie. Coż za koszmarny stereotyp!  
"Ta", cytryny stoją nierozładowane w porcie. Zgniją, a potem będą je sprzedawać po normalnej cenie. Wiadomo - komuna".  
/Na monitorze migawki z ulicznych starć gdzieś tam/.  
"No, wiadomo, komuna tylko takie rzeczy pokazuje o Zachodzie".  
Itd., itd.

Żeby były to jeszcze komentarze złośliwe, ironiczne, zjadliwe - nie, są to po prostu stwierdzenia, bełkotliwe, schematyczne zdania, powtarzające się regularnie przy takich okazjach. Wiem dokładnie kto co powie i na widok czego.

Coż za paradoks! Dotarło już do naszej świadomości, że "TV-klamie!", ale ciągle pozostajemy na poziomie tego sloganowego, oczywistego stwierdzenia. Negujemy, nie bardzo wiedząc dlaczego - czy tak wypada, żeby nie łamać konwensu? Nie stać nas na analizę, na zauważenie d l a c z e g o "TV to zło". Z zapartym tchem oglądamy bezsensowne seriale, żujemy papkę informacyjną, nie starając się nic odczytać w podtekście, czy uzupełnić wiadomości na własną rękę, przemyśleć, przedyskutować. A już oglądanie dziennika TV przypomina barczoorwellowskie pół godziny nienawiści. Reagujemy bez zastanowienia - narzekamy, psioczymy, bo nawet już nie krytykujemy. Krytyka wszak musi mieć racjonalne, p r z e m y ś l a n e argumenty, żeby nie rozmyła się w jałowym negowaniu.

I tak toczą się te "rozmowy", bo sprzed telewizora przenoszą się do stołów na rodzinne czy towarzyskie spotkania, do pracy, w czas przerw śniadaniowych lub herbatek w biurach.

Widzimy zło, a raczej je c z u j e m y instynktem zapracowanego muła, mieliśmy bez końca te same wyrazy, wytwarzając coraz większe pokłady beznadziejności. Wystarczy przejechać parę kilometrów pociągami lub iść na rodzinny, niedzielny obiad i po wysłuchaniu "konwersacji" natychmiast powiesić się w najbliższym, publicznym szalecie.

O tempora, o mores! Dlaczego nie stać nas na rozmowy interesujące i błyskotliwe, uczące dowcipu, w sposób przyjemny i zajmujący pozwalające spędzać godziny pogwarek w miłym towarzystwie! Czyż w zatechłej, ponurej atmosferze z większym apetytem zjada się coraz chudsze niedzielne rosołki i smętne, sinawe kurczaki na kartki?

Podobno narody bez dowcipu i nie znające kultury słowa to narody skazane na niewolnictwo - może tego "chce komuna"?

R.

- X — X — X
- 1° Rozmowa być może była bełkotliwa, ale z wad wy-mowy nie należy się wyśmiewać.
  - 2° Kurczaki wcale nie były sine!
  - 3° Do rosołu nikt nie zmuszał.

A poza tym autora serdecznie pozdrawiają pozostali konsumenci obiadu, który stał się okazją do powyższych przemyśleń.

## komputerowy k a t

Kiedy na zebraniu kolegium redakcyjnego Naczelny /bardzo ważna osobistość/ głosem nie pozwalającym na jakikolwiek sprzeciw, patrząc na mnie znacząco, zakomunikował zebrany: "Jesteśmy pismem dla młodzieży. Powinien być w Piśmie kącik komputerowy", zamurował mnie. Jeszcze jeden szalenięc przekonany, że "nowoczesne" pismo dla młodzieży musi obok listy przebojów i kącika porad seksualnych dla nietłucznych zamieszczać skromny choćby kącik komputerowy. Opierałem się pomysłowi Naczelnego dość długo. Ostatecznie uległem, choć stawiając własne warunki. Przekonano mnie, że mikrokomputery i mikroinformatyka wywołują takie emocje, angażują istotną część polskiej młodzieży, a jednocześnie otaczane są nimbem tajemniczości, świętości niemal, że zupełne zignorowanie tego ruchu wokół komputerów byłoby chowaniem głowy w piasek. Będę się jednak starał, by nasz komputerowy kąt nie był powieleniem materiałów publikowanych w innych gazetach. Obiecuję więc solennie, że w "Wielkiej Grze" nie będziemy publikować:

- kursu języka BASIC;
- listy przebojów gier komputerowych;
- opisów gier i recept jak zdobyć Moskwę lub jak wyzwolić królową z łap okrutnego czarnoksiężnika;
- wydruków jakichkolwiek programów;
- opisów sztuczek technicznych, sposobów zachowania wiecznego życia, ani żadnych matematycznych robaczek.

Spróbujemy natomiast opisać fenomen szaleństwa komputerowego, jakie ogarnia coraz szersze rzesze polskiej młodzieży. Przyjrzed się do czego te komputery są rzeczywiście wykorzystywane i zastanowić się do czego wykorzystywane być powinny, a więc po co komu komputer. Czy rzeczywiście jest to taka czarna skrzynka, która zdolna jest jakimś cudownym sposobem rozwiązać nasze problemy gospodarcze, społeczne i nawet polityczne. Czy może spełnić marzenie emerytów o terminowym doręczeniu należnych im pieniędzy i marzenie uczniów o nauce łatwej i przyjemnej.

Tej ostatniej sprawie - komputerom w szkole i nauczaniu - będziemy starali się w naszej rubryce poświęcić najwięcej uwagi i miejsca. Opisać co dzieje się w szkołach na lekcjach informatyki /zwykle straszne rzeczy/. Porozmawiać z uczniami i nauczycielami, którzy mają pozytywne doświadczenia w pracy z mikrokomputerami. Zastanowić się jaki pożytek może mieć uczeń z własnego mikrokomputera w domu.

Mamy nadzieję, że uda nam się choć w niewielkiej części te wielkie zamierzenia zrealizować, czego czytelnikom i sobie życzy

Wasz Komputerowy Spec

W następnym numerze: KOMPILEROWY SZAL



WYDAWNICTWO  
SPOŁECZNE  
KOS

cena 20zł.

Z dużym opóźnieniem, ale bardzo serdecznie dziękujemy naszym przyjaciółom z Kopenhagi za guzki